

# K Esej podróży (fragmenty)

Andrzej Niewiadomski

[...]

Nienawidziłem ucieczki, zawsze brzydziłem się rejteradą, ową niemęską taktyką uników, uchylania się, zwodzenia, rozwlekania i czego tam jeszcze robienia, by tylko nie nazwać wprost – tchórzostwem – własnych ruchów. W ucieczce było dla mnie zawsze coś głęboko upokarzającego, nawet jeśli skojarzona została, i przez to usprawiedliwiona, ze sprytem. To usprawiedliwienie można jednak uruchomić w jedynym i wyjątkowym wypadku: jeśli ucieczką jest podróż. Tym bardziej jestem w stanie uśmierzyć resztki wszelkich wątpliwości, im wyraźniej dodam: jeśli podróż jest ucieczką od czegoś, co w najogólniejszym zarysie i upraszczającym skrócie nazywam polskim życiem intelektualnym i artystycznym, a może polskim życiem duchowym, mając wątpliwości co do nieco anachronicznej formy i świadomości, że takie zjawisko być może w ogóle nie występuje w przyrodzie. Nie chciałbym jednak zagalopować się i wylądować na terenie resentymentów, żalów i rozliczeń. Bo przecież nie tylko my podróżujemy. Zatem: podróż-ucieczka usprawiedliwiona jest, ponieważ oddala nas od głupoty. Mógłby ktoś rzec: przecież podróż jej nie wyklucza i nic nie stoi na przeszkodzie, by głupota wyzierała zza każdego rogu i narzucała się pielgrzymom. Ale to nie tak: podróż sprawia, że ona się rozrzedza, niknie, niedostrzegalnie niemal, jej pojedyncze manifestacje rozplývają się, wyparowują. Natykamy się na nią, bo istnieje jeszcze, ale przestajemy zwracać uwagę, bo przestaje być niebezpieczna, tonie w przestrzeni i rzeczach. Nie wpływa w istotny sposób na nasze przemieszczanie się, staje się nieważka. Traci wszystkie swoje drażniące moce, nie potrafi już epatować ani mizdrzyć się, co najwyżej schodzi do rzędu oderwanych, nic nieznaczących epizodów, zaczyna nabywać nawet pewnego uroku nazywanego najczęściej „dziwactwem” lub „dewiacją”, a te wliczone są w normę podróży.

Nie tylko więc erotyczna fascynacja, milczące mury, drogi, rośliny i zwierzęta: tak jak trudno wyzbyć się pożądanego, tak też trudno wyzbyć się środka uśmierniającego na tę jedną z największych dookólnych dolegliwości: głupotę. A jak wiadomo, tego rodzaju środki mają to do siebie, że trzeba je dawkować coraz częściej i w coraz większych ilościach, gdyż głupota narasta do niebotycznych rozmiarów. Dlatego prześladowuje mnie często myśl o podróży ciągłej, bez opuszczania środka lokomocji, jechać i jechać, choćby pejzaże były „nudne” (bo nie są nigdy aż tak nudne, by nie poświęcić uwagi jakiemuś szczegółowi), choćby towarzyszyły podróży jakieś żałosne dźwięki i muzyki (bo nie są nigdy aż tak żałosne, by nie stanowiły swoistej części rytmu peregrynacji). Wiele razy słyszeliście zapewne o transie, w jaki wpada słuchacz, o transie, w jaki wpada alkoholik, i o wielu innych transach – na mistycyzmie kończąc. Ale czy wiecie, jak wygląda trans podróży? A raczej jak odczuwa się ten trans? Jechać bez końca, zaufać czystemu ruchowi przeczącemu samemu sobie, jechać tak, by przestać orientować się nie w przestrzeni, lecz w rytmie poruszania się, przystanków i postojów, nie odróżniać jednego od drugiego, stać się przesuwanym się obrazem i dźwiękiem, mającym swoje statyczne stany, zapamiętanym jak ulga radości nie nudnej.

Dlatego, ze względu na możliwość transu, należy zawsze podróżować od początku do końca. Dlatego zawsze czuję się nieswojo, kiedy włączam się w inne podróże, kiedy „dosiadam się” w połowie trasy, jak pasażer autobusu, który nie jedzie od pierwszego przystanku i czuje się gorzej niż pozostali pasażerowie, bo ci zdążyli już zadzierzgnąć jakieś znajomości, ukształtowali jakieś wspólne rytuały, obrzędy kiepskich dowcipów, familiarnych układów z kierowcą, pytań „jak długo tu postoiemy”, wspólnego palenia na przystankach; albo jak ktoś, kto na lokalnej linii trafia pomiędzy zmierzających do jednej miejscowości jej mieszkańców, zdezorientowany i nieorientujący się w niuansach tutejszego języka; albo jak ktoś, kto wkracza do przedziału pociągu i chce zająć jedyne wolne tam miejsce, pomiędzy już rozłożonymi nogami, tobołami, gazetami, laptopami i plastikowymi butelkami po coca-coli light; albo nawet jak ktoś, kto wkracza na wąską ścieżkę, wyłaniając się zza jakiegoś węgla czy drzewa i czując dyskomfort niewiedzy, jaką prawdę konfiguracji ta ścieżka niesie ze sobą i w jaki sposób niosła czyjeś nogi, które wstąpiły na nią tam, gdzie się zaczynała.

Wydaje się więc, że nic prostszego niż samotna podróż samochodem, ale to złudne. Podróż wymaga od nas większych poświęceń, ten zaś wariant byłby swoistym poświęceniem jej istoty na rzecz innego rodzaju uwagi. I bynajmniej nie decyduje tu lenistwo, choć lenistwo odgrywa niebagatelną rolę w myśleniu o podróży... A ściślej rzecz biorąc: lenistwo, które jest ucieczką od innego lenistwa... Na takie paradoksy skazani jesteśmy – niestety – mówiąc o tym, na takie zawikłania, w których łatwo ugrzęznąć, ale postaramy +

się mocniej trzymać wodze, jeśli nie kierownicę. Jest to tego rodzaju lenistwo (ale jakże mówić o nim w ogóle, kiedy mówimy o ucieczce, o poświęceniach i o wysiłku?), co nie istnieje bez rezygnacji, tej na przykład, która kazała Proustowskiemu bohaterowi myśleć o kłopotach i troskach kiepskiego dnia dzisiejszego i smutnych perspektywach jutra, zamiast przy pomocy woli i umysłu rekonstruować wrażenia powodowane przez pewne rurkowane, delikatne jak muszelka ciastko. I jest to rezygnacja, która nakazała pisarzowi gdzieś na marginesie ostatnich stron dzieła przyznać, że nasze dzieła nie są wieczne, że nikt im nie obiecywał – jak ludziom – wieczystego trwania. Zrezygnować, by „jakoś tam”, „w jakiś tam sposób” wygrać? Stary wybieg, ale nie pozostaje nam nic poza takimi wybiegami. Można podważyć człowieczeństwo albo inaczej: nadać mu właśnie rangę przez zgodę na unicestwienie tych jego form, o jakich do tej pory mówiliśmy, a jakie kiełkują na podłożu pychy i jakie wypełnia pycha. Ja też ulegałem pokusie „metody”, jeżeli za „metodę” uznać można pewne formy, pardonnez pour les mots, heroizmu intelektualnego. I to chyba jeszcze w poprzedniej książce eseistycznej, choć nie dałbym głowy, że tak właśnie było. Odpowiedzią powinno być przyznanie się i uznanie daremności tych wysiłków. Ale nie daremności lenistwa, które przez ucieczkę przemawia, a które bez niej nigdy by się nie obyło.

Bowiem lenistwo jest grzechem i cnotą zarazem, a może w takiej dwoistej postaci istnieje tylko dla niewtajemniczonych, dla tych, co nie wiedzą, że wiele wytworów sztuki i nauki jest rezultatem owego lenistwa, jednakowoż nie potrafią rozróżnić szarlatanerii od zbawiennego wpływu. Ci, co uznawani są za pracowitych, tworzą często rzeczy nędzne, bardzo nędzne nawet, a może tylko drugoplanowe, inni – dzięki lenistwu – osiągają szczyty geniuszu. Bo to lenistwo autentyczne jest w gruncie rzeczy aktem rozpacz, wynikiem zwątpienia, wyczerpania się sensu krzątający projektującej jakiejś schematy zachowań twórczych. Pracowici, jacy nas zewsząd otaczają, oddali się w niewolę języków mających otwierać jakieś kolejne etapy poznania i z wolna osuwają się w otchłań głupoty, kiedy te języki zaczynają się przedrzeźniać. Nie można bowiem, powiadają, zignorować gotowych kluczy, nie można zignorować tego, co nazywamy (ale uwaga: tylko nazywamy) „nowym”. Otóż zasób narastającej głupoty powoduje, że można, że coś, co do tej pory było hańbą – powiedzenie „nie czytałem, bo wiedziałem wprzód, że nie warto” – stanie się cnotą. Nie można bowiem, powiadają inni, niczego zmieniać w językach, jakie sobie nieźle przecież radziły i nadal mogą radzić, bo ich „swojskość” i „bliskość” lepiej opanowuje ewentualne inwazje nieznanego. Podróż jest ucieczką od sromoty tych pracowitych leniuchów, proponujących nam coś, co zapewni nam ważność, jest więc lenistwem prawdziwym, sprawdzonym, i nie dźwigającym (w końcu) na sobie teologicznego piętna grzechu. Może dlatego, że jest rezygnacją „darem pustych rąk”; uciekać to lenić się, nie biorąc na siebie ciężkiego jarzma zachowań

myślowych dostosowanych do regulaminów i do ulotek sabotujących regulaminy.

Chyba to właśnie zdecydowało, że nigdy nie cenilem zawodowych albo pół-zawodowych pisarzy-podróżników, nie cenilem i nie ufałem im za grosz. Nawet nie dlatego, że mógłbym ich czynić odpowiedzialnymi za narodziny własnej poriomanii; nie tu tkwiła – zdaje się – przyczyna. I nie z tej przyczyny, że z za „prawdomównej” relacji wzywały stopy fikcji, to akurat nie ma niemal żadnego znaczenia. Nie znosiłem ich za to, że nie wiedzieli nigdy, na czym polega lenistwo prawdziwe, oparte na rezygnacji prowokującej ucieczkę. A w związku z tym, że nie wiedzieli, z jednej strony pracowicie produkowali strony wypełnione nonszalancją i lekceważeniem, kreując się na chłonnego wszystko prostaczka, który kiedy trzeba, potrafi też przemówić językiem filozofii (udawali więc leniwych i zrezygnowanych, pracowicie tworząc swoje outsiderstwo), z drugiej zaś strony równie pracowicie produkowali przyciężkie i wydumane koncepcje, sprzedawane jako erudycyjne sploty, finezyjne w zamierzeniu zderzenia różnych narracji, postaci i zdań, niemal poetyckie przebłyski, wskazujące na „żywość” i „aktualność” problematyki, która – kiedy trzeba – posłuży się i jakąś potocznością, i jakimś przekleństwem (udawali więc leniwych i zrezygnowanych, pracowicie kreując niewymuszoną lekkość swojego erudycyjnego bagażu). Ale niech tam... Każdy podróżuje jak potrafi... bodajby tylko tak było; jak potrafi, a nie jak potrafią za niego głupie regulaminy nostalgii i tryumfujących świadectw czy tylko inteligentnie dostrzeganych załączków szczęśliwej utopii.

Jechałem kiedyś pociągiem (a jechałem „od początku”) z poetą Z. na wschód, tam, gdzie się jeszcze – obiecuję – udamy, i jechaliśmy jakoś wyjątkowo długo, więc podczas tej podróży toczyła się rozmowa, z której tak naprawdę (nie kokietuję) niewiele pamiętam, zaledwie wyrwane fragmenty opowieści i zdań, poza jednym „wyznaniem” Z. Zdarzył się wówczas wypadek na przejeździe, lokomotywa staranowała prowadzonego przez roztargnionego kierowcę fiata punto, musieliśmy stać w polu, czas dłużył się jeszcze bardziej i Z. w pewnej chwili powiedział: – Wiesz, właściwie to do ostatka wahałem się, czy się tam wybierać, bo dopiero co skończyłem gruntowny remont w domu i tak jakoś chciałem sobie po prostu w nim posiedzieć. – I kiedy przypominam sobie to zdanie, i jeszcze kilka innych, następnych, o rozterce i o urokach „siedzenia w domu”, porządkowania rzeczy, papierów, popalania, picia nalewek, gapienia się w okno i kilku innych czynnościach, myślę o rezygnacji jako o stanie, który dotyczy podróży i przygotowań do podróży, który ją właściwie... tworzy. Bo przecież Z. nie zostałby w domu, by budować ambitne konstrukcje intelektualne obracające się w śmieszność ani po to, by pisać, dlatego zrezygnował z podróży. Raczej udałby się w podróż innego rodzaju, a może przygotowywałby się do wyjazdu następnego, tak czy +

owak, uciekałby od czegoś, co pachnie głupotą, która mogłaby dopaść go we wszystkich tych sytuacjach zbiorowych celebracji takiej czy innej poprawności, nawet jeśli wiążą się one z „podróżowaniem”. Nie wierzyłem, oczywiście, w celność tych czy innych diagnoz literackich Z., dotyczących aktualnych wydarzeń, bo któż z nas nie ma na koncie epizodu poddania się temu rodzajowi głupoty, ale to zdanie przywiodło mi na myśl obraz samego siebie, przerzucającego papiery na biurku, mapy, patrzącego w okno, projektującego festiwal lenistwa, festiwal ucieczki, a raczej śledzącego czujnym wewnętrznym okiem, jak się to samo projektuje i narasta.

Nie wiercie więc pisarzom-podróżnikom ani żadnym modom na podróżowanie, raczej postarajcie się przeciwstawić im lenistwo rezygnacji i dyskrecję ucieczki. Wolny od głupoty jest między innymi ten, co nie zakreśla tak łatwo granic swojej profesji, wszakże wszystkie profesje i cechy należą do sfery regulaminów, najbardziej zaś z nich zarażone głupotą są te, które żyją z ich podważania i imitują ucieczki, mieszcząc się doskonale w wyznaczonych takim ucieczkom ramach. Czyż więc rozumiecie prawdziwy sens słów, że należy podróżować samotnie? I czyż ta nieuchwytność granic pomiędzy domem i szlakiem nie prowadzi was w stronę prawdziwego sensu słów o radości i przymusie podróży? Czyż odpuszczone nam, prawdziwe lenistwo nie jest dostępną nam postacią radości i czyż ucieczka nie jest przymusem walki o przeżycie w świecie głupoty, radosnym przymusem i ocaleniem życia całego – a nie tylko naszej „egzystencji”?

[...]



# Ontologia mapy. Poetycka kartografia

Elżbieta Winiecka

Andrzej Niewiadomski

**Mapa. Prolegomena**

Wydawnictwo Ośrodka Brama Grodzka –Teatr NN

Lublin 2012

1. Z lekcji geografii w szkole pamiętam wielką płócienną płachtę z naklejoną na niej mapą, odwarstwiająca się na krawędziach od płótna wystrzępionego przez lata zwijania i rozwijania. Mapa naciągnięta była na metalowe listwy i zawieszona na tablicy (z czasem ten prowizoryczny stojak zastąpił bardziej profesjonalny, metalowy). Wskaźnik nauczycielki bezbłędnie namierzał pożądaną punkt lub obszar na mapie. Lekcja geografii zazwyczaj była drobiazgowym komentarzem do tej barwnej – zielonej, brązowej, pomarańczowej, czerwonej, żółtej lub niebieskiej – plamy, która za jego sprawą stopniowo obrastała w szczegóły, nasycana się realnością. Podobnie było z podręcznikiem: książka stanowiła źródło informacji o świecie, mapki zamieszczone wewnątrz (czyż już w tym zdrobieniu nie brzmi nuta pogardy dla podrzędnej w świecie wiedzy pozycji mapy?) odgrywały jedynie rolę służebną. Wniosek nasuwał się sam: mapa jest marnym przybliżeniem, niedoskonałym tak bardzo, że redukującym całe połącie świata do milczącego punktu lub plamy.

Po lekturze eseju Andrzeja Niewiadomskiego *Mapa. Prolegomena* na to wspomnienie nałożyła się jednak inna wizja. Autor, opisując swoje szkolne wyprawy w świat mapy, wspomina:

„Na rozłożonym arkuszu papieru podaniowego trzeba było – w nakreślonej wpiery siatkę równoleżników i południków w odwzorowaniu pseudowalcowym dowolnym trapezowym Eckherta – dokładnie wrysować kształty kontynentów, słowem, na papierze podaniowym ująć świat cały” (s. 13).

Na kartce A4 ująć cały świat! Czyż to nie porywająca perspektywa? A potem, z każdą kolejną stroną tego niezwyklego eseju, świat mapy, mapa-świat rozrasta się coraz bardziej, by wreszcie całkowicie zawładnąć wyobraźnią czytającego, narzucić mu nowy, zaskakujący sposób rozumienia mapy, która wchłania świat, czytelnika i autora-kartografa. Przede wszystkim kartografa, będącego tu figurą centralną: nie tylko jako twórca mapy, lecz nade wszystko jako jej sługa, praktyk i propagator, już nie niezależny autorski podmiot, lecz ten, kto staje się głosem mapy, sługą jej bycia, mówiącym „my” w jej i swoim imieniu.

Zatem nie: na początku była mapa, lecz: „początek jest mapą” (s. 8, 10). Zawsze. Stwierdzeniem tym Niewiadomski zatwierdza jej pierwszeństwo przed książką, choć jedna i druga odgrywają równie ważną rolę (W Obeo z tomu *Kruszywo* czytamy: „Niewiele więcej można powiedzieć, niż to, że bez rzeczywistości – tak jak bez lektur (bez mapy) – obejść się nie da, a te dwie sfery przenikają się w tajemniczy dla mnie sposób”).

Ten triumf mapy nad książką zapowiada już okładka, która jest po prostu bardzo szczegółową mapą, złożoną wewnątrz do środka wzdłuż krawędzi wolumenu tak, jak kiedyś zginało się szary papier, w który okładano tomy. Po rozłożeniu mapa przykrywa książkę, ja zaś, już po lekturze eseju, zaczynam doceniać rangę tego faktu, za sprawą którego dokonuje się odwrócenie ról. To nie mapa wklejona jest wewnątrz książki (jak działo się z innymi mapami, na które natykał się autor), lecz książka ukrywa się wewnątrz mapy. Stanowi jej integralną część, swoisty komentarz do jej istnienia, być może wcale nie mniej ważny od niej samej.

Ta urzeczywistniona metafora książki w mapie (w mapie, od której, jak pięknie uzasadnia Niewiadomski, wszystko się zaczyna i w której wszystko się zawiera) zyskuje całą gamę migotliwych znaczeń w miarę czytania *Mapy*. Choć zatem nie mam zaufania do krytyki literackiej, która zaczyna interpretację dzieła od uwag na temat wyglądu okładki, w tym wypadku myślę, że jest to uzasadnione. Od liberackiego bowiem gestu powiązania niby-obwoluty z treścią książki rozpoczyna się aksamitna rewolta, jaka w naszym rozumieniu mapy i rozumieniu poezji dokonuje się za sprawą książki Andrzeja Niewiadomskiego.

2. Rzecz jasna, uczeni niezawodnie odnotowali więź łączącą mapę i literaturę. Współcześni literaturoznawcy (Elżbieta Rybicka, Elżbieta Konończuk), historycy (Karl Schlögel) oraz geografowie i kartografowie (Brian Harley) zgodnie wskazują na wspólne cechy łączące ich dyscypliny. Karierę robi dziś pojęcie geopoetyki, chętnie mówi się o zwrocie topograficznym, interdyscyplinarnym dialogu tych dziedzin, a także wzajemnym uwikłaniu dyskursów: +



kartografii, historii, polityki, estetyki i etyki. Utekstowanie przestrzeni skłania do przenoszenia zjawisk i narzędzi literaturoznawczych na grunt refleksji topograficznej. Kartografia przestaje być traktowana przez jej przedstawicieli jako dziedzina wyłącznie matematyczno-geograficzna. Z wolna staje się hermeneutyką topograficzną, w której proces interpretacji mapy staje się problemem rozumienia. Mapa zaś to narzędzie poznawania rzeczywistości, w którym obok naukowych spotykają się aspekty estetyczny, etyczny i filozoficzny. Z kolei za tekst patronacki nowoczesnej literatury polskiej uznaje się Ulicę Krokodyli Brunona Schulza, w której mapa pojawia się jako marna replika rzeczywistości, stając się tym samym metaforą kryzysu reprezentacji i zmierzchu starego świata. Potem jest Jorge Luis Borges i jego słynne opowiadanie O ścisłości w nauce, w którym fabularyzuje on utopijny pomysł kartografów, polegający na stworzeniu mapy tak dokładnej, by pokrywała się z terytorium Cesarstwa: mapę w skali 1:1. To właśnie opowiadanie, komentowane m.in. przez Umberto Eco w krótkim felietonie (O tym, że nie da się sporządzić mapy cesarstwa w skali 1:1 w tomie *Diariusz najmniejszy*), stało się punktem wyjścia dla pesymistycznej wizji Jeana Baudrillarda, który w *Precesji symulaków* wieszczył przed laty kres poezji mapy i uroku terytorium, dowodząc, że mapa zastąpiła rzeczywistość, przenosząc nas w wymiar hiperrzeczywistości, gdzie różnica (między tym, co pierwotne i wtórne, rzeczywistością i jej przedstawieniem) zanikła bezpowrotnie. Do tych ważnych z punktu widzenia filozofii mapy stwierdzeń Niewiadomski odwołuje się krytycznie. I ja do kwestii tych jeszcze powrócę.

Utwory, w których mapa zmienia sposób widzenia i myślenia bohaterów, wymieniać można długo. Wśród nich dziennik okrętowy Mirona Białoszewskiego, który po swojemu obmapowuje Europę, jeszcze przed Niewiadomskim pokazując literackie zalety locji, Stefana Chwina Białe kafelki, porcelana, nikiel, gdzie mapa jako przedmiot kontemplacji prowadzi do przeżyć estetycznych i metafizycznych. Są też opowiadania Andrzeja Stasiuka – mistrza narracji o nietrwałości rzeczy i ich niszczeniu. W *Jadąc do Babadag* pojawia się opowiadanie Słowacka dwusetka, z którą podróżując, pisarz obserwuje jej rozpad i niszczenie nasuwające na myśl analogię do niszczenia w ogóle, w szczególności zaś do znikania świata unicestwianego przez wojny i plastikową cywilizację. Z kolei w *Fado* znajdujemy *Mapę* – esej, który eksponuje kruchość postaci świata i odsyła do obrazów przeszłości, ocalenia dla minionego świata szukając w nostalgicznej kontemplacji tytułowej mapy.

3. W rozważaniach Niewiadomskiego literatura przynosi jednak inny sposób myślenia o mapie, choć w zasadzie, skoro mapa jest na początku, poprzedzając (w swej niemej postaci) także pisanie, poprawne jest raczej stwierdzenie odwrotne: mapa zmienia literaturę i myślenie o niej, stając się jednocześnie niebywale sprawnym narzędziem interpretacyjnym:

„mapa wdziera się niedostrzegalnie do świata literatury, czytamy książki, powieści, eseje i nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo uzależnione są od świata kłębiącego się między równoleżnikami i południkami. Mapa dyktuje przede wszystkim wiersze, znakomicie zastępując to, co nazywamy często natchnieniem, daimonionem, impulsem. Patrząc na fragmenty napisanych przeze mnie wierszy i ze zdziwieniem znajduję potwierdzenie konstatacji, ku którym skłania zwykła praca umysłu” (s. 169).

Teraz wystarczyłoby sięgnąć do tomików poetyckich Andrzeja Niewiadomskiego, by – w myśl sformułowanych przez niego zaleceń – dostrzec w nich świat kartograficznej wyobraźni. Być może szczególne miejsce zajmuje tu tom *Locja* (2005), w którym pojawia się wiele wierszy kształtowanych przez myślenie mapą. Wiersze z tego tomiku powstawały w tym samym czasie co *Mapa*, w latach 2003–2004, nie dziwi więc ta zbieżność, którą warto w innym miejscu bardziej szczegółowo opisać.

Autor prolegomenów do poetyckiej kartografii nie tylko tworzy więc wstęp do rozważań o mapie, problematyzuje jej ontologię, epistemologię, etykę, estetykę, a nawet teologię. Rysuje też perspektywę nowego ujęcia podmiotu i innego sposobu czytania poezji. Odkrywa i charakteryzuje wrażliwość kartograficzną innych autorów. Są wśród nich: Elizabeth Bishop, Leopold Buczkowski, Bolesław Leśmian, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Peiper, Józef Czechowicz, Jerzy Zagórski, młody Czesław Miłosz, ale też: Tymoteusz Karpowicz, Bruno Jasiński i wielu innych, zarówno wymienionych, jak i przemilczanych pisarzy „pozostających na służbie cechu kartografów” (s. 204).

Gwoli usprawiedliwienia hermetyczności tekstów pasjonatów literackiej kartografii, posądzanych częstokroć o celowe zaciemnianie przekazu, eseista tak pisze:

„Może to jest właśnie wielka zaleta literatury kartograficznej: będąc o wiele bardziej klarowna niż tworzone z rozmysłem projekty hermetyzmu, nie daje się wyłożyć, odczytać w tak prosty sposób jak one. Następuje tu wtórne «zaciemnienie sensów», ufundowane na obiegowej opinii. I tak jest dobrze. I tak jest właściwie. Ten dziwny kamuflaż gwarantuje mniejsze ryzyko wdarcia się dyletantów w świat arkuszy” (s. 189).

Znaczy to, że mapa porządkuje świat poetyckich sensów, a ciemność, niezrozumiałość, hermetyzm poezji kartografów żyjących i piszących „w” mapie leży po stronie czytających. Jest efektem ich (naszej) dyletanckiej nieznajomości klucza do świata wyobraźni i znaczeń, jakie ona, zawsze niedokładna, a przez to niewyczerpywalna, podsuwa. Mapa wnika w język, świadomość i wyobraźnię, podporządkowuje sobie poetę lub pisarza i ten – celowo bądź nie – pisze zgodnie z regułami przez nią dyktowanymi. Kto bowiem raz ulegnie jej sile, kto przyjmie perspektywę mapy za własny sposób rozumienia +

siebie i świata, ten nigdy już jej nie porzuci. Brzmi to przekonująco, ale co oznacza dla nas, czytających?

4. Myślę, że przede wszystkim to, iż wobec takiej wykładni bytu mapy nie sposób pozostać zdystansowanym krytykiem. Belferskie, trywialne w swej racjonalności podejście do mapy jako przedmiotu, którego się używa, by powiedzieć coś o rzeczywistości poza nią, którą ta zawsze nieuchronnie zniekształca, budzi niechęć Niewiadomskiego – czulego kartografa. Podobne uczucia wywołują dobrze usadowione w literaturoznawczym żargonie zagadnienia geografii literackiej, magicznej i mitotwórczej funkcji mapy, wiążących się niechybnie z meandrami pamięci i wdzięczną, choć już wyeksploatowaną, tematyką wzniosłości, nostalgii i melancholii spowodowanych utratą własnego miejsca. Mapa w każdym przypadku jest pretekstem; nie celem, lecz środkiem do niego, ewentualnie: ilustracją zjawisk zawsze ważniejszych od niej. Tymczasem według Niewiadomskiego:

„Mapa podobna jest raczej ikonie, nie, dokładniej: ikonostasowi, sporządzanemu zawsze wedle tych samych reguł, ale innemu w każdej cerkwi” (s. 248). To komentarz zasadniczy dla tworzonej tu ontologii mapy. Nie ma w niej miejsca na dualizm obrazu i jego pierwowzoru. Mapa to dużo więcej niż reprezentacja świata skonstruowana wedle ściśle określonych reguł. Więcej również niż symulacja, będąca jedynie ostatnim etapem porządkującego zachodnią epistemologię myślenia opartego na pragnieniu zawładnięcia rzeczywistością. Tak dzieje się w ocierającej się o szaleństwo Borgesowskiej wizji mapy Cesarstwa sporządzonej w skali 1:1, która jest nieosiągalnym punktem granicznym kartografii – wizji wykorzystanej później przez Baudrillarda. Symulacja oznaczająca mapę pozbawioną terytorium, obraz pozbawiony pierwowzoru – to wyraz kapitulacji umysłu wobec wyzwolonych przezeń mechanizmów technologicznych przemian, których tempo przekroczyło zdolności ludzkiego rozumienia. Jednakowoż zastąpienie pojęcia i zjawiska reprezentacji kategorią symulacji wcale nie stanowi przewrotu w filozofii. Niewiadomski przekonująco uzasadnia, że mechanizm zaprzeczania i zastępowania jednych konstrukcji innymi nie osłabia naszej poznawczej aktywności. Aktywności, która nie zmniejsza dystansu między nami i światem lecz go pogłębia.

Dlatego eseista proponuje zmianę nastawienia, na wzór Heideggerowskiego myślenia bycia i Nietzscheańskiej krytyki dualistycznego myślenia przedstawieniowego. Jest to zwrot dyskretny, łagodny, rzec by można: poetycki, choć radykalny w swym przesłaniu, bo wymagający ponownego przemyślenia dyskursu filozofii i całej humanistyki. Polega on nie na wprowadzaniu nowych kategorii, lecz na zredefiniowaniu, czy raczej głębokim przemyśleniu tych narzędzi, metod i postaw, które już znamy. Co więcej, postulat ten autor prezentuje in praxis, sam określając się mianem kartografa („Jeśli sam nie

uznam się za kartografa, któż mnie za kartografa uzna?”, s. 40). Dla takich jak on, kartografów, którzy oddali się we władanie mapy, jest ona jedyną: kapryśną i nieprzewidywalną rzeczywistością (a nie odzwierciedleniem, modelem, odbiciem, kopią, odwzorowaniem, reprezentacją – wszystko to słowa redukujące bogactwo jej możliwości), która istotowo uczestniczy w tym, do czego odsyła. Jak ikony, które w prawosławiu uobecniają sacrum. Pisanie mapy (charta gráphein), tak jak pisanie ikon, a potem budowanie z nich ikonostasów, podlega niezmiennym regułom, dyktowanym choćby przez zasady odwzorowań kartograficznych. Lecz jedna i druga, ikona i mapa, mają swą nieskończoną głębię, albowiem jak boskość pierwszej jest czymś niewyczerpywalnym, tak bezmiar tego, co pominięte między dwoma punktami na mapie, stanowi o nieograniczonym potencjale twórczym drugiej.

5. Mapa jest dla Niewiadomskiego pierwotnym sposobem rozumienia świata, zajmuje miejsce przypisywane we współczesnej humanistyce narracji jako strukturze rozumienia:

„Ludzie poruszają się pośród liczb, które tworzą także daty, i ludzie rozczarowują, tworzą coś, co nazywają historią, zamiast bezszelstnie wtapiać się w przestrzeń, w materię mapy, wszystko jedno, czy jak postacie ze starego malarstwa pejzażowego czy geometryzujące się postacie Mondriana i Malewicza, czy tylko jako kreski i schematyczne figury, przedmioty, które pozostały z bardziej krągłych zarysów. Nigdy nie podejrzewałem, że ludzie mogliby być właściwymi twórcami map, to raczej mapy tworzą ludzi, a ludzka niedoskonałość i niedokładność mapy wcale nie przekładają się na niedoskonałość map” (s. 27).

Próbując znaleźć wyjaśnienie tego, czym staje się mapa w takim ujęciu, myślę o kategorii Kantowskich apriorycznych form poznania, wbudowanych w ludzki aparat poznawczy. Po chwili zastanowienia odrzucam jednak to porównanie: czas i przestrzeń warunkują i kształtują doświadczenie racjonalne, tymczasem mapa nie odwołuje się do kategorii intelektu, nie służy podmiotowi, lecz go pochłania. Nie jest też formą aprioryczną, lecz bytem materialnym. Będąc formą poznania, jest też jego warunkiem, a także przedmiotem. Ta potrójność wcieleń mapy, jej zawiła, a przecież logiczna ontologia, nie wyklucza zatem jej istnienia jako przedmiotu, zmysłowo poznawanego fenomenu, wielokrotnie traktowanego jako dzieło sztuki, przedmiot estetycznej kontemplacji. Zarazem jednak jest ideą, rzeczą samą w sobie, noumenem – kategorią łączącą świat ludzkiej percepcji z rzeczywistością źródłową, niezapśredniczoną intelektualną, dyskursywną spekulacją, prowadzoną przez samoświadome „ja”. Bo „ja” kartografa jest częścią mapy, jej własnością, co trudno pojąć temu, kto myśli kategoriami dualistycznych przeciwstawień. Wizja to na wskroś poetycka: mapa, będąc tym, czym jest, staje się tu zarazem metaforą, przepustką do świata wyobraźni, która bez mapy okazuje się jałowa, a jej podmiot – nieistotny. +

Ontologia mapy nadaje wysoką rangę myśleniu poetyckiemu i rozumiejącemu otwarciu tego, kto oddaje się w jej władanie. Te cechy stanowią o jej heggerowskim (choć piszę to z poczuciem nadużywania tak jednoznacznych kategoryzacji w odniesieniu do zmiennej i złożonej problematyki mapy) charakterze. Proponowana optyka ogarnia uniwersum tego, co możliwe, a co spotyka się w mapie: świat obiektywny, świat subiektywny i świat kultury, wraz z naukowymi metodami opisu oraz światem znaków i reguł poznawczych.

Mapa jest dowodem na to, że to, czego nie widać, istnieje. Granice widzialności, granice przedstawienia, nie są granicami świata, w którym – wiemy to wszak skądinąd – wszystko nieustannie zanika i znika. Ruch jest też istotą mapy. Obcowanie z mapą pozostawia niedosyt, rozbudza pożądanie, bo zawsze jest ona niedokładna. To nie tylko „mechaniczne wyobrażenia”, odwzorowania według kartograficznych reguł na podstawie skomplikowanego systemu oznaczeń, przekształceń i matematycznych przeliczeń, to także żywioł tworzenia i odkrywania, bo mapa „w sposób nieprzewidywalny rządzi bezprawiem wyobraźni, topografii i «topografii»” (s. 35).

Zrozumienie mapy niesie zgodę na fakt, że wszystko jest znikaniem. Kategorie znikania i zanikania jako nazwy relacji łączących arkusze map i świat uważany za rzeczywisty są źródłem poezji. Nazywając procesy, wobec których mapa nieustannie określa własną tożsamość, stają się warunkiem jej istnienia i trwania.

Na swój własny, nie tyle amatorski (to miano przynależy kartografom amatorom), ile heretycki (i, bądźmy szczerzy, dyletancki) użytek sięgam do mapy satelitarnej. Tak naprawdę to, co widać, nie jest mapą, lecz płaskim planem, pozbawionym siatki kartograficznej i oznaczeń ukształtowania terenu (możliwe jest też osiągnięcie obrazu trójwymiarowego, który niweczy umowność odwzorowań kartografii). Na ekranie komputera można dowolnie regulować skalę obrazu, przybliżając lub oddalając obiekty, wydobywając je z otchłani niewidzialnego lub skrywając. Ale prawdziwa mapa nie oszukuje w taki sposób. Jest dużo bardziej delikatna i subtelna, łagodnie pozwala się oswajać z faktem znikania:

„Znikanie jest na pozór zupełnie niezrozumiałe i dlatego wiąże się z aktem odwagi, zanikanie może być niezrozumiałe, ale tu jesteśmy w o wiele lepszej sytuacji, ciesząc się, kiedy sygnał (prąd, idea, ukochana – wszystko jedno) wraca, nawet po serii metamorfoz” (s. 65).

Lecz Niewiadomski na tym nie poprzestaje. W swoim myśleniu proponuje pójście krok dalej; tam, gdzie uprzytomnimy sobie, że to nie zanikanie, lecz znikanie jest przeznaczeniem. Wówczas: „nic innego nam nie zostaje, jak odniesienie zanikania do znikania, przejście od trwogi do zupełnie innej do-

meny myślenia, myślenia, które **jest** byciem. Zatem prostujemy: nie idzie tu o filozofię, nawet o filozofię w postaci czystej, jedyną możliwością jest uprawianie ontologii w stanie czystym, takiej ontologii, która jest **przed** filozofią. Na początku” (s. 66).

Ontologia mapy jest zdecydowanie antykartezjańska, a nawet więcej: jest antyrefleksyjna. Kwestionuje kompetencje świadomego podmiotu, któremu zaledwie się wydaje, że stanowi centrum świata. W istocie ta nowa dziedzina namysłu jest stanem przedfilozoficznym, jest ontologią, stawiającą w centrum zainteresowania przypomnianą przez Heideggera kategorię bycia, które jest przed myśleniem bytów, przed filozofowaniem ustanawiającym relację podmiot–przedmiot. Dlatego autor, postulując odwrócenie od dyskursu filozofii, zwraca się w kierunku ciemnych myślicieli presokratejskich z Heraklitem na czele. Jednak egzorcyzmowany duch myślenia racjonalnego i idealistycznego unosi się nad tym niezwykle dziełem, nieustannie dając o sobie znać w aluzjach, obnażających bezradność uproszczeń filozofii i we wprost toczonej sporach.

6. Niewiadomski swoją książkę pisał przez rok. Zmuszony przez chorobę do spędzania czasu w domu, wielokrotnie przemierzał mapę. Podkreśla, że aby ta podróż się udała, trzeba było stać się nikim, być wewnątrz mapy: okiem, skupieniem i ruchliwością, lecz nie świadomym „ja”. Jego podróż zawsze kończyła się w tym samym punkcie, określonym co do minuty długością i szerokością geograficzną: w Niewiadomszczyźnie – maleńkiej wiosce położonej na dawnych kresach wschodnich, na Białorusi, niedaleko granicy z Litwą. Możemy tylko zgadywać, dlaczego miejsce to jest tak ważne dla Andrzeja Niewiadomskiego. On sam niczego nie mówi wprost. Jest wewnątrz mapy (i choćby dlatego zbieżność nazw własnych jest nieprzypadkowa).

7. Dłuższy czas próbowałam zidentyfikować miejsce, które przedstawia mapa-okładka. Na darmo. Paradoksalnie, z powodu swej szczególności, jest (przynajmniej dla mnie) nieczytelna. Zabrakło nazw własnych, a na siatce kartograficznej współrzędnych geograficznych. Cóż, zapewne od początku źle z nią postępowałam, chciałam ją przeczytać, rozpoznać, unieruchomić. I pozostała dla mnie zagadką. Czystą potencjalnością. A przecież powinnam była pamiętać, że ten, kto nie odda swego życia mapie, nie zrozumie ani mapy, ani tych, którzy w niej żyją.

Lecz kiedy myśle o autorze tej dziwnej, niezwyklej książki ukrytej w mapie, zdaje mi się, że zaczynam powoli rozumieć, co znaczą słowa: „mapa była najlepszą rzeczą, jaka nam się zdarzyła. Że – raczej – jest najlepszą rzeczą, która wciąży, od nowa nam się zdarza” (s. 250). ●